Wojciech Nerkowski

# INFANTKA

Szukając swojej tożsamości, można stracić wszystko inne...

LIRA
WYDAWNICTWO

INFANTKA

Wojciech Nerkowski

# INFANTKA

LiRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66966-46-8

*Dla Inez*

*Cóż znaczy nazwa? To, co zwiemy różą,*
*Pod inną nazwą nie mniej by pachniało.*

William Shakespeare, „Romeo i Julia”
(fragm. w tłum. Stanisława Barańczaka)

*Zatem zostało powiedziane, że kto zna wroga i zna siebie, nie będzie zagrożony choćby i w stu starciach. Kto nie zna wroga, ale zna siebie, czasem odniesie zwycięstwo, a innym razem zostanie pokonany.*
*Kto nie zna ani wroga, ani siebie, nieuchronnie ponosi klęskę w każdej walce.*

Sun Tzu, „Sztuka wojny”
(fragm. w tłum. Dariusza Bakalarza)

# Prolog

Kim jestem?

Większość z nas umie sobie odpowiedzieć na to pytanie. Znamy swoich rodziców, dziadków. Oglądamy się na zdjęciach i filmach z dzieciństwa. Słyszymy zabawne opowieści o przekręcanych słowach: „głupocis" zamiast „długopis", „khaki" zamiast „krzaki". Chodzimy na urodziny, chrzty, śluby i pogrzeby bliskich. Znamy przypadki nadciśnienia w rodzinie, choroby Hashimoto, alergii i wielu innych schorzeń, na które warto uważać, bo mogą być uwarunkowane genetycznie. Dziedziczymy nie tylko DNA i majątki, ale też koneksje, rodzinne anegdoty, przekazywany z pokolenia na pokolenie przepis na sernik oraz sposób mycia okien, żeby nie było smug.

Mnie pozbawiono całej tej wyprawki. Nie miałam ani mamy, ani taty, ani jednej babci, ani jednego dziadka, żadnego rodzeństwa, kuzynów bliższych czy nawet dalszych. Nie znałam swojego miejsca na ziemi. W podróż, którą jest życie, wyruszyłam na gapę.

Nie było łatwo. Musiałam walczyć o tożsamość. Sporo mnie to kosztowało — niejedną nieprzespaną noc, rozczarowania, ciosy, czasami łzy. Mało brakowało, a zapłaciłabym najwyższą cenę. Śmierć kroczyła pół kroku za mną, już wyciągała rękę…

Nie chcę umrzeć, nie wiedząc, kim jestem. W dowodzie, decyzją urzędników, miałam wpisane „Hanna Wysocka". Imię mogło zostać, ale żeby chociaż nazwisko było prawdziwe…

Zadarłam z wpływowymi i bezwzględnymi ludźmi. Narobiłam sobie wrogów. Fortuna kołem się toczy: raz byłam na wozie, raz pod wozem, przeczołgana, upokorzona i oszukiwana.

Jedno się nie zmieniło — moje uparte dążenie do celu.

Do prawdy.

Nie zrobiłam tego dla pieniędzy, choć niektórzy zarzucają mi chciwość.

Spoglądam na swój dom. Co tam dom — mały Wersal, pałac jak z bajki, godny księżniczki, otoczony wypielęgnowanym ogrodem i zabytkowym parkiem. Pochylam głowę i uśmiecham się do córeczki, która śpi w wózku z główką przechyloną na bok. To ona jest prawdziwą księżniczką. Stworzyłam jej poczucie bezpieczeństwa. Od początku będzie znała swoją tożsamość, będzie wiedziała, kim jest.

Pcham wózek, a jego koła toczą się bezszelestnie po trawniku. Jest ciepło, bezwietrznie, na niebie ani jednej chmurki. Zabieram córeczkę na spacer do ogrodu różanego, po drodze mijamy rozłożysty dąb. Ma ponoć prawie dwieście lat i należy do odmiany Irtha. Po jego poskręcanych konarach skaczą dwie wiewiórki, nasze sympatyczne sąsiadki.

Pałac okala ogród różany, chiński, francuski, dalej jest park — w sumie jedenaście hektarów ziemi. To luksus, na który stać nielicznych. Jeszcze rok temu gnieździłam się w wynajmowanej kawalerce, na niecałych trzydziestu metrach kwadratowych, a ogródek stanowiła plastikowa doniczka z bazylią na parapecie.

Owszem, jestem chciwa, ale na wiedzę. Za wszelką cenę chciałam poznać swoją prawdziwą tożsamość. Paradoksalnie sama udzieliłam sobie odpowiedzi na pytanie, kim jestem. Zdefiniowała mnie walka. W chwilach, kiedy ją przegrywałam, nie ugięłam się. Zrozumiałam wtedy, że można żyć pełnią życia zarówno podczas triumfu, jak i w momencie porażki.

Wózek miękko sunie po dywanie z trawy. Mała otwiera oczy i uśmiecha się do mnie bezzębnymi jeszcze ustami. Wierzga, więc muszę na chwilę się zatrzymać, żeby poprawić zsuwający się kocyk. Potem przechodzimy przez furtkę wykonaną z kutego żelaza. W oczy rzuca się zdobienie w samym jej środku: posrebrzany orzeł trzymający w złotych szponach strzałę, a jego pierś chroni tarcza.

W ogrodzie różanym unosi się słodki zapach, kwitną już wczesne odmiany. Kilka metrów przede mną, odwrócony tyłem, pracuje mężczyzna. Wkopuje w ziemię drewnianą pergolę, którą za kilka lat oplotą dwa krzewy pnących róż. To prezent dla mnie z okazji urodzin. Mężczyzna jest silny, za każdym razem, kiedy podnosi łopatę, mięśnie pleców napinają się pod spraną koszulką polo, a biceps w zginanej ręce formuje się w gulę.

— Hej! Inspekcja pracy… — mówię żartobliwym tonem. — Co się pan tak lenisz? Żwawiej!

— Co?! Haruję jak wół i złamanego grosza jeszcze nie dostałem…

Mężczyzna przerywa pracę, odwraca się. Zdejmuje słomkowy kapelusz i uśmiecha się do mnie, wachlując się jego rondem.

— Żebym cię nie pozwał do sądu. Nie zapominaj, że jestem prawnikiem… I to cholernie dobrym.

To mój mąż, mężczyzna, którego kocham, ojciec mojego dziecka.

Podchodzi i całuje mnie mocno, a ja przytulam się do jego rozgrzanego od słońca i wysiłku ciała. Lubię jego ciepło, jego zapach, dają mi poczucie bezpieczeństwa.

— Jaśnie pani będzie zadowolona… — mruczy mi do ucha.

Czasami się martwię, że to tylko sen, z którego przyjdzie mi się obudzić. Wiem, że takie martwienie się na zapas nie ma sensu — dręczy, niszczy spokój ducha, a niczego nie daje. W sytuacji realnego zagrożenia nie pomoże, wręcz przeciwnie, może uśpić czujność.

— Idziemy na spacer do dębów — mówię, opierając dłonie na uchwycie wózka.

— Z Bogiem. — Mąż całuje mnie w czoło.

Idylla, ale tylko z pozoru.

Pośród szpaleru drzew, do którego zmierzam, czai się zło. Ukrył się tam morderca. A ja, niczego nieświadoma, kieruję się w tamtą stronę, pchając wózek z córeczką.

— Za godzinę obiad — rzucam jeszcze do męża.

— Dopiero?

— Dobrze, za pół. Ale nie licz na cuda, podgrzeję wczorajszy.

— To może zatrudnimy kucharkę? Stać nas!

— W głowie ci się przewraca — śmieję się. — Może to udar od słońca?

Wciągam zapach róż, niczego nieświadoma, krok za krokiem zbliżam się do śmiertelnej pułapki. Nie

zatrzymują mnie żadne znaki ostrzegawcze, intuicja milczy, szósty zmysł śpi.

Nagle słyszę przytłumiony grzmot, który sprawia, że przystaję. Zadzieram głowę. Hen, wysoko na niebie przelatuje samolot. Srebrna kreska z ledwo widocznymi skrzydłami, wspomnienie mojego poprzedniego życia.

Aż trudno sobie wyobrazić, że tam w środku znajduje się setka, może dwieście albo nawet jeszcze więcej ludzi. Zawsze kiedy widzę samolot, zastanawiam się, kto nim leci i dokąd. Nie sposób tego sprawdzić, to inny świat, odizolowany od mojego odległością i prędkością. Może to wszechświat równoległy?

Być może jedną z osób na pokładzie jestem ja, a raczej ta wersja Hani Wysockiej, która się nie odważyła.

# Część I

## Stewardesa, która bała się latać

### Dwa lata wcześniej

## 1

### Rio de Janeiro → Espargos → Warszawa

— Jezus, Maria, spadamy!

— Ja nie chcę umierać!

— Ratunku!

— Kurwa, co jest?! Kurwa!

Były też przekleństwa dużo gorsze. Właściwie wszyscy ludzie rozpaczliwie klęli. Albo płakali.

Lot z Brazylii do Warszawy, z międzylądowaniem na wyspie Sal, od początku był pechowy, bo opóźniony, a kończył się jako koszmar. Nigdy nie zapomnę zakrwawionej twarzy młodej kobiety, przerażenia w jej oczach. Wyła jak opętana, miotając jednocześnie najgorsze przekleństwa. Prawie wszyscy pasażerowie krzyczeli, przestraszeni i zdezorientowani, dzieci ryczały wniebogłosy, jakaś staruszka wyciągnęła różaniec i modliła się na głos.

— Pod Twoją obronę uciekamy się…

Sytuacja zrobiła się dramatyczna, ale próbowałam zachować spokój. Choć to trudne, bo boję się latać. Trochę głupio, zważywszy na to, że pracuję jako stewardesa.

Spojrzałam na trzymany w ręku czajnik. Zalewałam pasażerom kawę i herbatę. Natychmiast ukucnęłam i wylałam cały wrzątek na podłogę samolotu. Tego wymagają procedury, w przeciwnym wypadku woda mogłaby się wychlapać i kogoś poparzyć.

Ja też się bałam, że zaraz umrę, ale nie mogłam sobie ulżyć krzykiem ani przekleństwem. Odpowiedzialność za innych była silniejsza niż strach, trzymała mnie w ryzach. Pewnie dlatego od kilku lat udaje mi się przezwyciężać lęk przed lataniem. Za każdym razem, kiedy wchodzę na pokład, mam kolana jak z waty, podczas startu umieram, ale kiedy zaczynam zajmować się pasażerami, skupiam się na swojej pracy i to mi pomaga przezwyciężyć strach.

— Proszę usiąść — zwróciłam się do zakrwawionej kobiety, właściwie jeszcze dziewczyny.

Wyglądała jak postać z horroru. Była młodsza ode mnie, miała pewnie niewiele ponad dwadzieścia lat, choć wyglądała poważniej, bo była mocno umalowana.

— Spokojnie… — kontynuowałam. — Zaraz pani pomogę, koleżanka już poszła po apteczkę, ale niech pani siada. Proszę!

Chciałam dotknąć jej ramienia w uspokajającym geście, ale się zawahałam, bo nie wolno nam dotykać pasażerów.

— Boże! O Boże! — zawodziła zakrwawiona pasażerka.

Trzęsłam się wraz z samolotem, którym potwornie rzucało. Ledwo byłam w stanie ustać na nogach, w końcu złapałam się oparcia fotela. A musiałam przecież jak najszybciej wycofać z przejścia metalowy, stukilowy wózek z serwisem pokładowym. W każdej chwili mógł komuś zmiażdżyć nogę.

— Co to ma być?! — Krzyk rannej dziewczyny przeszedł we wrzask. — Ja pierdolę, ratunku!!! Spadamy!

— Niech pani usiądzie na swoim miejscu — poprosiłam. — Proszę usiąść! Słyszy mnie pani?

Kilkadziesiąt sekund wcześniej wlecieliśmy w strefę nagłych turbulencji. Nim kapitan zdążył wydać ostrzegawczy komunikat, samolotem zawładnęła ogromna siła. To nie były jakieś tam wstrząsy, od których rozlewa się kawa, tylko potworne szarpnięcie, jakby złapała nas niewidzialna ręka olbrzyma i pociągnęła w dół. Dziewczyna, która stała akurat w przejściu, straciła równowagę, przewróciła się i wyrżnęła głową o kant laptopa, który trzymał na kolanach pasażer siedzący obok. Jej twarz momentalnie zalała się krwią.

— Spadamy! O kurwa, spadamy!!! — krzyczała, patrząc na mnie przerażonymi oczami.

— Nie spadamy. To turbulencje — próbowałam ją uspokoić, a mój głos wibrował razem z kadłubem samolotu.

Mówiłam głośniej, żeby przedrzeć się przez szum silników i harmider panujący na pokładzie. Pasażerowie byli coraz bardziej spanikowani i nic dziwnego — rzeczywiście można było odnieść wrażenie, że samolot został uszkodzony, pikuje i albo rozpadnie się

w powietrzu, albo rozbije o ziemię. Silny podmuch wiatru znów cisnął maszynę w dół, i jeszcze raz, i kolejny. Cały czas nami trzęsło, trzeszczał kadłub, skrzydła, wydawało się, że zaraz coś odpadnie, coś się urwie.

Żołądek podchodził mi do gardła. Ja też miałam ochotę zamknąć oczy i krzyczeć ile sił w płucach. Bałam się, że za chwilę oderwie się podłoga i wtedy wszyscy wypadniemy z samolotu na wysokości dziesięciu kilometrów nad ziemią.

Nadludzkim wysiłkiem wycofałam wózek do galleya, jak nazywamy kuchnię w samolocie. Zablokowałam koła i natychmiast wróciłam, żeby zająć się ranną pasażerką. W końcu udało mi się ją przekonać, żeby usiadła i zapięła pas bezpieczeństwa. Biedaczka rozcięła sobie łuk brwiowy, stąd tyle krwi. Paskudnie to wyglądało, rana była szeroka, jej brzegi fioletowe i puchły w oczach. Szkoda, bo dziewczyna była śliczna, zgrabna. Ale też od razu pomyślałam, że jeśli zadziałam szybko, blizna będzie niewielka.

Podbiegła do mnie Magda, moja najlepsza przyjaciółka, również stewardesa. Przyniosła apteczkę, z której w pierwszej kolejności wyjęłam fioletowe rękawiczki jednorazowe, potem plasterki zastępujące szwy. Samolotem cały czas szarpało, więc z trudem udało mi się ścisnąć ranę i zatamować krwawienie.

— Już dobrze — powiedziałam do dziewczyny, która siedziała z zamkniętymi oczami i płakała.

Myślałam, że najgorsze minęło, bo turbulencje zaczęły słabnąć. Wtedy nagle w rzędzie po drugiej stronie przejścia zaczął rzygać młody chłopak.

— O fuj! — wyrwało się którejś pasażerce.

Chłopak był niepełnoletni, podróżował z rodzicami, ale zaraz po starcie zapytał Magdę, czy może się przesiąść do pustego rzędu. Potem nagabywał nas o drinki albo chociaż o piwo. Oczywiście żadna z nas nie wydała mu niczego poza soczkiem pomarańczowym, najwyraźniej jednak w jakiś sposób zdobył alkohol, bo gdzieś nad Gibraltarem oczy zaczęły mu się świecić i stał się jeszcze bardziej namolny. Magda się wściekła i chciała to zgłosić kapitanowi. Przekonałam ją, żeby tego nie robiła, jeśli chłopak nie będzie sprawiał dalszych kłopotów. Miałby nieprzyjemności, a jego rodzice mogliby się zrujnować. Wiedziałam, że kapitan Zagajewski jest służbistą, mógł zdecydować się na awaryjne lądowanie, za które rodzice chłopaka musieliby zapłacić.

Magda dała młodemu ustne ostrzeżenie i przez dalszą część lotu zachowywał się grzecznie, ale teraz, pewnie wskutek wstrząsów i na widok krwi pasażerki, wymiotował jak islandzki wulkan Eyjafjallajökull. Bezradnie próbował sobie zatkać usta dłonią, lecz nic to nie dało. Pobrudził wszystko i wszystkich dookoła.

Jęknęłam w myślach, bałam się, że zaraz i mnie dotknie fala mdłości. Zacisnęłam dłoń na oparciu fotela, które było jedynym czystym przedmiotem w zasięgu.

— Weźcie stąd, kurwa, tego pijaka! — grzmiała starsza kobieta, która jeszcze przed chwilą żarliwie się modliła.

Zebrałam się w sobie. Już chciałam ruszyć do schowka, gdzie trzymamy specjalny proszek — posypujemy nim wymiociny, wyciąga z nich zapach i wodę. Ale

wtedy nadeszła kolejna fala turbulencji. Niewidzialny olbrzym, który znudził się zabawką, nagle znów sobie o niej przypomniał i wrócił, by tarmosić ją z jeszcze większą siłą. Zgasło światło, a krzyki pasażerów połączyły się w jeden chór przerażonych głosów.

Bałam się. Myślałam, że umrzemy. Choć miałam już wylatane prawie trzy tysiące godzin, nigdy nie doświadczyłam takiej furii żywiołów.

# 2

## Wojdany

— Kochanie, zobacz. To ty? — spytał Jakub.

Otworzyłam oczy i gwałtownie wciągnęłam powietrze. Przez chwilę byłam oderwana od rzeczywistości, bo wróciły wspomnienia sprzed kilku dni, koszmar lotu z Brazylii, który kosztował mnie masę nerwów.

Tymczasem wokół było cicho i spokojnie. Moje stopy twardo stały na podłodze z jasnego drewna, ułożonego w misterną mozaikę. Z ukrytych w suficie głośniczków sączyły się kojące dźwięki. Nie znam się na muzyce klasycznej, nie rozpoznałam utworu ani kompozytora. Był lekki, a jednocześnie pompatyczny, może jakiś walc Straussa?

— Co powiedziałeś? — Spojrzałam na Jakuba.

— Pytam, czy to ty. — Mój chłopak mówił niby poważnym tonem, ale na twarzy błąkał mu się ironiczny uśmieszek i od razu wiedziałam, że żartuje.

Podążyłam za jego spojrzeniem, a jednocześnie odruchowo złapałam go za rękę, jakbym się bała, że i tu, na ziemi, dopadną mnie turbulencje.

Na ścianie wisiał obraz w złoconych, rzeźbionych ramach — portret kobiety w kremowej sukni z bufiastymi rękawami i w białych pantofelkach z klamerkami. Nie umiałam ocenić, z którego wieku. Nie znam się ani na muzyce klasycznej, ani na sztuce. Na pewno ubiór i misternie upięta fryzura, a także sposób malowania były starodawne. Zresztą wszystkie obrazy wiszące na ścianie udekorowanej tapetą w biało-błękitne pionowe pasy przedstawiały postaci z odległych epok: mężczyźni z sarmackimi wąsami, kobiety w perukach, z piórami we włosach, z kameami zdobiącymi ich łabędzie szyje. Było też kilka portretów trumiennych, w nietypowych sześciobocznych ramach.

— Oj, wygłupiasz się — powiedziałam, bo już się domyślałam, jaki żarcik szykuje mój chłopak.

— No popatrz! Wyglądasz jak ta laska na obrazie. — Puścił moją dłoń i wyciągnął w kierunku płótna wskazujący palec.

— Nie dotykamy! — upomniała go starsza, korpulentna kobieta pilnująca ekspozycji.

Parsknęłam śmiechem. To jedna z zalet Jakuba — potrafi mnie rozbawić. Jest też opiekuńczy i czuły. Nie wie, że boję się latać, wstydziłabym się mu do tego przyznać, a nigdy jeszcze nie towarzyszył mi w samolocie. Zorientował się jednak, że jestem wykończona pracą, a ostatni czarter z Brazylii, z międzylądowaniem na Sal, mnie dobił. Kiedy wróciłam do domu

i opowiedziałam mu o pasażerce z rozbitym łukiem brwiowym, o rzygającym chłopaku i o turbulencjach stulecia, przytulił mnie mocno. Potem przygotował mi gorącą kąpiel w pianie, a kiedy w wannie zmywałam z siebie stres i zapach wymiocin, zakręcił się wokół kolacji z winem.

Ponieważ miałam trzy dni wolnego, zabrał mnie na weekend za miasto, żebym wypoczęła i się wyciszyła. Znalazł hotel ze spa w miejscowości Wojdany, niecałą godzinę jazdy na wschód od Warszawy. W kancelarii prawniczej, w której pracuje, poprosił o dzień urlopu i w piątek z samego rana ruszyliśmy w drogę.

Gdy dotarliśmy na miejsce, padało, więc pluskaliśmy się w hotelowym basenie, siedzieliśmy w saunach, a ja skorzystałam z odprężającego masażu gorącymi kamieniami. Sama nigdy bym go sobie nie zafundowała, bo nie lubię wydawać pieniędzy na zbytki, ale teraz za wszystko zapłacił Jakub. On też nie jest krezusem, tym bardziej doceniłam jego starania.

— Parzy, pani powie, parzy? — dopytywała się młoda Tajka wykonująca masaż.

— Nie parzy — uspokoiłam ją.

— Nie parzy? — przestraszyła się. — Pani czeka, zaraz parzy!

Chyba była początkująca, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Odprężyłam się, wręcz czułam, jak gorące kamienie oddają mi swoje ciepło, a w zamian odbierają moje stresy.

W sobotę wyszło słońce, więc zaproponowałam Jakubowi spacer po okolicy. Tak odkryliśmy kolejną atrakcję

Wojdan, czyli zespół pałacowo-parkowy, znajdujący się na wzniesieniu na obrzeżach miasteczka, za murem z czerwonej cegły.

Bilet wstępu na teren parku kosztował dwanaście złotych, a za możliwość zwiedzenia i parku, i pałacyku trzeba było zapłacić dwadzieścia złotych.

— Tym razem ja stawiam — powiedziałam.

Jak głosił opis w broszurce, którą dostaliśmy razem z biletami, budowla w stylu późnego klasycyzującego baroku została zaprojektowana przez Tylmana z Gameren pod koniec siedemnastego wieku. Przez kolejne stulecia pałac znajdował się w rękach magnackiej rodziny Woydańskich, a po drugiej wojnie światowej został znacjonalizowany. Dopiero w dwa tysiące dziesiątym roku spadkobiercom udało się odzyskać pałac i park, wyremontowali go i udostępnili zwiedzającym.

Właśnie w jednym z pokoi pałacu znajdowała się galeria dawnego malarstwa z portretem rzekomo podobnej do mnie arystokratki.

— W ogóle nie wyglądam jak ona. Może tylko kolor włosów się zgadza — zaśmiałam się, przyglądając się obrazowi.

— Normalnie jak bliźniaczki. Serio!

Nie przestając się śmiać, pacnęłam Jakuba w czoło broszurką o historii pałacu.

Często tak się wygłupiamy, kiedy mijamy na ulicy albo w centrum handlowym osobę, która jest podobna do kogoś znanego lub do kogoś, kogo oboje znamy. Czasami te porównania są na wyrost i wtedy pękamy

ze śmiechu. Jednak zdarzyło nam się kilka razy spotkać niemal idealnego sobowtóra i wtedy naszą reakcją było zadziwienie.

— Delfina Woydańska, urodzona w tysiąc siedemset siedemdziesiątym czwartym roku, zmarła w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym. — Jakub odczytał napis z tabliczki przyczepionej obok ramy. — Portret pędzla Antoniego Falskiego.

— Chodźmy dalej — powiedziałam, łapiąc go za rękę. — Zaraz będę głodna. Już właściwie jestem.

Ruszyliśmy zwiedzać kolejne komnaty, odprowadzani przez oczy osób uwiecznionych na portretach — choć komnaty to w zasadzie za duże słowo. Pałacyk był tak naprawdę niewielki, piętrowy, zbudowany na planie prostokąta, bez żadnych skrzydeł czy krużganków. I miał raczej pokoje niż komnaty. Znajdowały się w nich obrazy, antyki, mnóstwo bibelotów: figurki porcelanowe, zastawa, zegary i zegarki, przedmioty codziennego użytku, w gablotach wystawiono cenne książki i korespondencję dawnych właścicieli tego miejsca. W sali myśliwskiej stała oparta o fotel dubeltówka, a w buduarze na okrągłym stoliczku z blatem z czerwonego marmuru rozłożony był pasjans. Wydawało się, że mieszkańcy pałacu gdzieś tu są, tylko wyszli na chwilę na spacer do parku.

Zwiedzającym udostępniono jedynie parter budynku. Kiedy doszliśmy do klatki schodowej, okazało się, że wejście na piętro blokuje krata z kutego żelaza. Jakub kilkakrotnie nacisnął metalową klamkę, ale na próżno: krata była zamknięta na klucz.